1844. Nr 22. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

TREŚĆ: Wspomnienia mojéj młodości przez Kazimierza Brodzińskiego c. d. — Wyspa, czyli Chrystyan i jego towarzysze, przekład: z Lorda Byrona przez A. Zawadzkiego (c. d.). — Kronika piśmiennicza polska: — Roczniki Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. — Chmury przeszłości przez Juliusza Strutyńskiego. — Potrzeby chemiczne rolnictwa przełożył J. Seweryn Zdzitowiecki. — Nowości.

Wspomnienia mojéj młodości.

(Dalszy ciąg).

Ojciec po długiéj słabości zdołał przecie do nas przybyć. Zapłacił poczciwemu gospodarzowi, który bez żadnéj ugody i znajomości nas żywił. Wkrótce po odjeździe jego doszła nas wiadomość, że już nie żyje. — Nie przypominam sobie z tych czasów szanowniejszéj postaci nad mego Ojca, ku któremu więcéj mieliśmy uszanowania, niżeli dziecinnéj miłości. Starzec 60 letni starannie po polsku się nosił, z tym tylko wyjątkiem, że zamiast podgalania włosów na głowie, zaczesywał je od czoła, spuszczając siwe loki na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do nas odzywał, gdyśmy na połajanie

zasłużyli. Co dzień o ćwierć mili chodziliśmy z nim na msza, w niedzielę tylko kazał zaprządz mały wozik, zwany wanienką. Był nadzwyczajnie oszczędnym, w końcu aż do skąpstwa, ztąd pochodziło nieszczęśliwe mieszczenie nas po szkołach. Wymyślny sam w pięknym polskim ubiorze, nam bardzo rzadko sprawiał nowe suknie, lecz z ogromnéj swéj garderoby przerabiać kazał kapotki. Co rok w czasie wakacyi rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, czyniono z krawcem lustracyją, które z nich dla dzieci przerobione być mają; mieliśmy przeto sukienki w różnych dziwacznych kolorach. Było zwyczajem, że do 3ciéj klassy łacińskiej, młodzież nosiła się po polsku, w ostatnich dwóch po francusku, była to niejaka oznaka wyższości. Memu bratu starszemu przypadła jakaś suknia z żółtemi pasami, z któréj frak mu zrobiono; wyśmiewany był od wszystkich uczniów. — Oprócz starostwa Kipnickiego, które nasz Ojciec lat 20 dzierżawił, miał dożywocie jednéj wioski. Że sam nie był gospodarzem wypuszczał grunt abszytowanym żołnierzom, budował im chaty, i ci byli do niego najprzywiązańsi. Sprawiedliwy, rozsądny, tak był kochany i poważany, iż na pogrzeb jego do kilkutysięcy się zjechało. Utrzymywał wiele korrespondencyj; do Krakowa regularnie dwa razy w tydzień posłańca wysyłał. —

Trzy miesiące od śmierci Ojca upłynęło, nasz najem się kończył, do nas nikt się nie zgłosił. Brat Andrzéj zyskał sobie niejaki zarobek pisząc u adwokata, mnie jak mógł, dopomagał, lecz wyżyć dłużéj obudwóm było niepodobno. Przedsięwziąłem więc udać się do macochy, a w razie najgorszym szukać u sąsiadów porady i wsparcia. Uszyłem sobie potajemnie z prześcieradła torebkę, dostawszy od Żydów za niepotrzebną czapkę kilka czeskich, zabrałem moje manatki i puściłem się pierwszy raz w piérwszą podróż o 8 mil do miejsc rodzinnych; zdawało mi się, że na koniec świata; wiek, słabe zdrowie i brak wprawy ledwo mi dały tę podróż ukończyć, spoczywając co chwila po lasach i górach, zostawiałem

coraz więcéj po drodze moich manatek, najprzód książki potem i sukienki, co mi wszystko nieznośnie ciężyło, tak dalece, że prawie z niczem przyszedłem na miejsce. Stanąwszy w Lipnicy, z drzeniem serca zbliżałem się do domu, który dla mnie tyle smutnych miał wspomnień. Nie zastałem w nim nie tylko macochy, ale nawet i żadnego z czeladzi. Po śmierci Ojca Niemcy, według prawa, natychmiast starostwo objęli, gdy starosta Roszyński dożywotni, w jednym czasie z mym Ojcem umarł. — Poznała mnie jedna z wiejskich kobiét, zaprowadziła do domu swego, gdzie noc smutną spędziłem. Dowiedziałem się, że macocha zaarendowała polne dochody plebanii w Rajbrodzie, w jednéj z wiosek do starostwa należących. Mąż téj kobiéty odprowadził mnie do Rajbroda, pół mili tylko od Lipnicy odległego. Po drodze wstąpił ze mną na cmentarz, pokazał grób Ojca, pomodlił się ze mną; przechodząc przez miasteczko (murowaną Lipnicę) zaprowadził na piwo i bułki. Zeszło się do szynkowni wiele ludzi, najwięcéj mieszczanek, byłem głaskany, żałowany, mówiono niezmiernie wiele o majątku ojca, co macocha zabrała, co Niemcy skręcili i tym podobne; wszyscy podawali mi szklanki nawet i kieliszki z wódką. — Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego powinienem się był obawiać; nagła zmiana losu i w nim upokorzenie, głos sumienia, a najwięcéj chęć zyskania opinii, sprawiły zapewne, iż mi nie odmówiła przytułku, po który tylko ślepym instynktem wiedziony przybyłem. Mieszkała w szczerém polu, w nowym zupełnie domku, o dwóch izbach z jednéj, a kuchni i śpiżarni z drugiéj strony; zresztą żadnego drzewka ani przybudowania; droga nawet w to miejsce ledwie była cokolwiek utartą. Miała przy sobie dwoje małych dzieci i jednę tylko służącą. Przyjęty byłem do czasu, póki opiekun i *forum nobilium* nami nie rozrządzą. —

Wieśniacy Rajbroda różnili się od włościan okolicznych obyczajami, wymową, a nawet strojem zupełnie prawie odmiennym. Liczne chaty rozproszone po dwóch pasmach wzgórzy-

stych, około niespokojnéj często wylewającéj rzeki, przez samych tkaczów były zamieszkane. Trzaski warsztatów rozlegały się od świtu do zmierzchu, a wielkie wzgórza i trawniki pokryte blichującém się płótnem. Pola mało zasianego, natomiast cała prawie wieś składała się z sadów, w których najwięcéj włoskich orzechów. Na małym placu równym, w dolinie, stary drewniany kościołek Maryi Pannie poświęcony. Plebania była na cmentarzu, tak że pod oknem prawie chowano. Pleban grubych obyczajów z nudoty pijaństwu oddany, pełnił jak umiał swoje obwiązki, żyjąc rano dla Boga i owieczek, po obiedzie dla siebie i dla węgrzyna. —

Nie mając żadnego towarzystwa i zatrudnienia, żadnéj a żadnéj książki prócz łacińskiéj i niemieckiéj grammatyki, jedyne towarzystwo znalazłem w drzewach, siołach i strumykach, nad któremi czas mój pędziłem. Niczem prawie ze szkół, oprócz trochę tych dwóch języków nie uposażony, nie miałem w téj samotności żadnego żywiołu dla myśli. Obyczaje wieśniaków zdały mi się zbyt grube w porównaniu z sąsiedniemi, i nie miałem z niemi prawie żadnéj styczności. Dumania po polach były mi zawsze jakąś roskoszą, połączoną z tęschnotą. W szczupłém mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniéj nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać, lub czytać grammatykę. Tam między innemi rzeczami postrzegłem wór papiérów po Ojcu moim zabranych. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4-letniego, wierszy, najwięcéj na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane po wszystkich domach się rozchodziły prędzéj niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojéj lektury od papiérów na nic nie przydatnych, a biorąc po świstku w pole, czytałem głośno to mowy to wiersze. Tamte mało mnie zajęły, nie zrozumiałem

o co w nich idzie, wiersze sprawiały mi roskosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, X. Jakubowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższemi zdawały i w pamięci utkwiły. — Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniéj naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza; przetrząsłem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę, i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole, i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy co mi do głowy przyszło. Byłem jak piskle w gnieździe, które instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściéj śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodija naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz śpiéwał. — Były to wyrazy tęschnoty za Matką, któréj nie znałem, i więcéj jeszcze piosnczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiaczek słyszanych. Byłem wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żapnych zapasów wiadomości, układałem projekta do dużych poematów. Nadeszła zima najsmutniejsza dla mnie, bo już nie tylko towarzystwa ale i natury pozbawiony, bez żadnych książek przepędzić ją musiałem; wieczorem chodziłem do czeladniéj izby plebana, szczęśliwy, jeżeli trafiłem na dzień, gdy parobki i prządki opowiadały tak zwane *gadki*, historyjki, lub kiedy śpiéwano pobożne pieśni, czém się zwykle nasi wieśniacy przy pracy zajmowali. Bywałem także u organisty, który miał w domu lichy klawicymbalik. Czasem zagrał na nim pieśni pobożne, bo innych nie umiał, pragnąłem w najwyższym stopniu uczyć się na tym instrumencie, lecz ujrzałem niepodobieństwo skłonienia organisty, który nie chciał udzielać tajemnicy swéj sztuki, może i dla tego, że żadnéj nagrody spodziewać się nie mógł. —„Pan jesteś i będziesz panem, i nie potrzebujesz być organistą“—odpowiadał mi, nie wiem czy w pro-

stocie serca, czy też żartując z biedaka. Macocha moja pogniewała się z plebanem, ztąd przez całą zimę towarzystwa nie było; oboje w samotności, pokątném nachylaniem kieliszka wieczory długie odprawiali. Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą, w czasie któréj już czerwone prątki krzewin, pączki obiecywały, a cmentarz był pełny fijołków. Zajmowało mię wielkie nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególniéj psalmy, śpiéwane przez niego, psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je za nim samym, późniéj kolejno, nazajutrz rano i po południu sam nie ustawałem śpiéwać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie sprawiły tak śpiéwane pieśni Dawida po skończeniu uroczystości Wielko-nocnych; potrafiłem uprosić od organisty książkę, któréj używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdaléj, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą grammatyką, i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyckie, ale i religijne, a od smutku i tęschnoty do błogiéj wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem. W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o 4 mile od Rajbroda. Co była za radość moja, czytać list cały o poezyi, któréj się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całéj tragiedyi przez niego napisanéj, pod tytułem Ludgarda! — Doniosł mi o książkach jakie czyta, o księdzu Juszyńskim, który się trudnił bibliografiją polską: że go poznał, bywa u niego i rady zasięga. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęschnoty do brata, do jego książek, a co większa,

widzieć jeszcze trzeciego człowieka, księdza, chcącego się zajmować poeziją. Nikt się o mnie nie pytał, w zaniedbaniu nie wiedziałem na co żyję; w domu byłem widocznie tylko cierpianym; umyśliłem więc, puścić się w drogę do stryja, który był i prawym moim opiekunem. Szło tylko o to, że byłem zupełnie odarty, a tak nie śmiałem się pokazać w domu stryja gdzie, jak słyszałem, bywali goście. Wynalazłem na moim strychu walający się surdut, niegdyś lokajski, po poczciwym Macieju, który go po śmierci Ojca mego zrucił i został na powrót parobkiem. Prosiłem o niego macochę, otrzymałem, a po różnych naradach z krawcem wiejskim, który się długo wahał jąć téj roboty, przechodzącéj jego umiejętności, skleił się surdut dość poczesny, po odjęciu wszelkich znaków lokajskich. Tak wystrojony nie wahałem się wystąpić na świat za granicę Rajbroda. Udałem się o pół mili do Lipnicy, do księdza wikarego, który znał mego stryja, z prośbą o poradę. Widząc mój stan próżniactwa, moje łzy, skłonił się, iż miałem być wyprawionym konno z przewodnikiem do Wojnicza. Macocha wyjechała na dłuższy czas — nie mówiąc nic nikomu, puściłem się w moję drogę, pełen najświetniejszych nadziei. Moj stryj i opiekun był przykładnym i oświeconym kapłanem, dobrym oraz i chojnym dla gości sąsiadem, miał piękne dochody, lecz za to nié miał ducha ekonomicznego, nadto przytém obciążony był familią oprócz nas, czworga dzieci po jednym bracie bawiło przy nim, po drugim matka z córką. Mniéj czule przyjąłem niezbyt uprzejme przyjęcie, szczęśliwy żem się połączył z rodzeństwem, szczęśliwy z bratem starszym. —

Wojnicz leży w przyjemném położeniu blisko Dunajca, owéj rzeki porywczéj, gwałtownie często wzbierającéj, tak iż często drzewa, trzody i szopy pasterskie w górach zerwane pędziła, — Probostwo składało się z obszernego, bardzo porządnego mieszkania z drzewa po staroświecku, i z przepysznego ogrodu włoskiego, którego czołem był sad, mający

najwytworniejsze owoce; kilka miesięcy pobytu mego w tym mieście, liczę do dni najszczęśliwszych młodości mojéj; wszyscy czworo, to jest dwie siostry i dwóch braci, mieliśmy jedne skłonnności, lubiliśmy czytać wiersze i po spacerach między wzgórzami piękne wynajdywać okolice. Ksiądz stryj dzielił z nami po części to usposobienie. W jednéj altanie ogrodu leżała spora księga, gdzieśmy wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Jędrzej celował dowcipem i pracą, od wszystkich najwięcéj kochany. Najgłośniejszą lekturą naszą były sielanki Gesnera, wierszem przez X. Chodacicego przełożone. Wszyscy nie tylko pisaliśmy sielanki, na wzór Gesnera, ale nasze rodzinne dziecinne życie było prawdziwą sielanką. Ja najwięcéj się przywiązałem do Szczesnéj, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściéj na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziły się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiły przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym, a raczéj trudniły się dozorem domowego gospodarstwa. Tam niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu pod umówioną morwę gdzie, wybiegała do mnie, przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki jakie z biblioteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu; kochaliśmy się najczulszą braterską miłością, weseli w zabawach, a zbyt może sielankowi i gesnerowi w naszych listach. W ogrodzie stryja zrobiliśmy oboje mały ogródek, nad którym najwięcéj pracowałem; kanapkę z darni zrobiłem, i starałem się przesadzać do niego najwięcéj polnych kwiatków, które się rzadko przyjmowały; tam było nasze ulubione siedzenie. Nigdzie, gdzie stryj i siostry bywały, pokazać się nie mógłem, bo oprócz zbyt lichéj garderoby, byłem w najwyższym stopniu nieokrzesany, nieśmiały, lubo w gronie czułem słodycz ugrze-

cznienia obyczajności wyższego swiata, o jakim tylko z daleka słyszałem i pragnąłem poznać. Kiedym przechodził koło pięknych dworów, których w téj okolicy pełno było, wystawiałem sobie, że wewnątrz nich jest raj prawdziwy. W imaginacyi stawiałem się pośród dam, byłem zręczny, przytomny, a nawet układałem dowcipne odpowiedzi i komplementa, na różne zajść mogące pytania i okoliczności. Nieraz znakomita dama, mijając brudnego chłopca, nie wiedziała, że tenże układa właśnie do niéj najsubtelniejsze wyrazy uczuć i dowcipu, jednakże od saméj natury czerpane. Chociaż późniéj nigdy w życiu nie umiałem zrealizować czułych w sobie zdolności i chęci. — Zawsze nieśmiały, nieprzytomny, dopiero wracając od dam, po drodze ślicznie i dowcipnie odpowiadałem, rumieniąc się i niepokojąc, że tak niezgrabny być mogłem. Raz istotnie starościna Dąbska, o któréj wykształceniu największe sobie snowałem wyobrażenie, raczyła do mnie na spacerze przemówić. Traf ten niespodziany tak mi odebrał przytomność, że cóś niezrozumiałego mruknąwszy, w największym pędzie uciekłem i już z każdego odtąd miejsca uciekać musiałem, gdzieby mnie ujrzeć mogła. Taką moję nieśmiałość czułem głębiéj nad wszystkie cierpienia; ona mię prześladowała i prześladować będzie do końca życia, i jest główną przyczyną wszelkich we mnie innych niedoskonałości i niefortunnych kolei. — Nie widząc nigdy towarzystwa, jak mówią, wyższego świata, najwięcéj o niem lubiłem marzyć, i nic dla mnie naturalniejszego nie było, jak dobrą, grzeczną damę uważać za bóstwo prawdziwe. Tém wyobrażeniem nie upoiły mnie romanse, bom dotąd żadnego w życiu nie czytał, ani poezije, bo najwięcéj i jedynie miałem na pamięci pasterki Gesnera, lecz sądziłem, że słodycz obyczajów, cnoty, jakie tenże w pasterkach malował, znajdują się rzeczywiście w towarzystwie wyższego świata. — Gesnera Idylle, mające za przedmiot naturę, są jak to każdy dziś czuje, najmniéj naturalne i już zapewne nikt ich nie czyta; lecz właśnie ta idealność Gesnera jest po-

dług mnie jedyną poeziją dla wieku dziecinnego, który jak, swojéj własnéj, tak i w sztuce oddanéj, szczeréj niewinności i uczuć dziecinnych nie zdoła czuć, bo ich z niczem porównywać nie umie, bo nie wiedząc o tém, sam ich jest pełniejszy niż wszyscy poeci. Właśnie więc dla tego Gesner podoba się młodości, że nie maluje rzeczywistéj natury, że wystawia świat idealny, w jaki tylko wiek dziecinny wierzyć może i do jakiéj najwięcéj jest skłonny. —

Dla tego też może Gesner od wykształconéj społeczności we Francyi więcéj niż wszędzie był uwielbiany, bo téj prawdziwie idylicznéj natury czuć już nie było w stanie tak, jak umysł dziecinny czuć jéj jeszcze nie może. Szczęsna siostra widziała nierównie więcéj świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrzesanie wcale jéj nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gosci, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, który nawet okna unikał, gdzie widział gości. Każdy przysmaczek, jaki się jéj dostał, był wspólnie zemną zjedzony, a z rozmowy naszéj, rozumowania były, jak mówiła, więcéj nauczające, niżeli towarzystwo które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jéj wyższego poloru miałem taki, iż nigdy nie odważyłem się dać jéj braterskiego pocałunku; żyliśmy z sobą jak bracia, i po niéj uważano, że ma więcéj męskich skłonności. —

Brat mój Andrzéj umieścił się tymczasowo u starosty Dąbskiego jako sekretarz. Mieszkanie starosty było jedno z najwspanialszych w okolicy; wkradałem się często do niego z największą obawą, równie aby mnie pies, starościna lub dama jaka nie spostrzegła. W całym tym pięknym dworze polskich książek prawie nie było, lecz tylko francuskie, którego języka obadwaśmy nie rozumieli. U doktora dworu wynalazł brat poezije niemieckie Hallera, zdobycz dla nas obudwu niezmier-

nie ważna; ja mało mogłem go zrozumieć, brat mi tłumaczył, piękniejsze miejsca nawet wierszem przekładał. Wiersz do wieczności szczególniéj nam się podobał. Wkrótce byłem w stanie rozumieć całego Hallera, niezmiernie uradowany, że są rzeczy głębiéj zajmujące jak sielanki Gesnera, Hodaniego. — Gdy raz starostwa wcale w domu nie było, miałem sposobność obejrzeć pięknie umeblowane pokoje; widok ten sprawił we mnie zadziwienie. Na obrazy żadnéj nie zwróciłem uwagi, lecz alabastrowe wazony, szczególniéj zaś figury gipsowe, pare marmurowych czy mozajkowych kolumn, nęciły mnie tyle, iż się im napatrzyć nie mogłem. Snycerskie roboty ołtarżów i rzeźby, których tyle w kościołach krakowskich, mało mię niegdyś zajmowały, ale te rzeźby z antyków naśladowane, już dały mi poznać, że w ludzkiéj postaci cóś nadludzkiego mają. Nie mogłem odtąd patrzeć na żadne tłuste, złocone po kościołach aniołki. — Dotąd nad wszystkie sztuki najwięcéj mię zajmuje rzeźba starożytna; ona jest wyobrażeniem spokoju i duszę pokojem zapełnia. —

(d. c. n.) *Kazimierz Brodziński.*

WYSPA

CZYLI

CHRYSTYAN I JEGO TOWARZYSZE.

(przekład z lorda Byrona).

(Ciąg dalszy).

PIEŚŃ II.

XIV.

W roskosznem zapomnieniu życia pogrążona,
Neuha, mórz południowych dziéwczę, istna żona,
Nie była w świecie, który blaskiem swoim mami,
Odwodząc od miłości; nie z towarzyszami,
Co szydzą z jéj przelotnych zapałów; nie w tłumie
Modnisiów, z których każdy czić ją głośno umie,
Lub szepty występnemi chce zwieść z drogi prawéj,
Ująć jéj spokojności, dobrych mów i sławy;
Z wiarą, z czuciem tak jawném, jak jéj postać cała,
Zdało się, jakby tęcza pośród burzy stała, —
Która barwy świetnemi rozlicznie się mieni,
Lecz coraz jest piękniejszą w powietrznéj przestrzeni,
I, czy łuk swój rozszerzy, lub krótko pogości,
Zawsze rozgania chmury—posłannik miłości.

XV.

Tu w jaskini na brzegu, który tłoczą fale,
Przepędzali południe w znojnym dnia upale;
Lecz nie długie godziny — wszak nie słyszą oni
Zegaru, który brzmieniem pogrzebowém dzwoni,
Rozdziela nam dzień krótki, co spiesznie ucieka,
I wskazując, drwi śmiechem żelaznym z człowieka.
Czémże dla nich jest przyszłość, albo przeszłość cała?
Obecność, jako tyran, silnie ich trzymała:
Ich klepsydrą był piasek morski; w wolnym biegu
Upływały im chwile, jak fala od brzegu;
Zegarem było słońce w swéj ogromnéj wieży;
Nie liczyli dnia, co jak godzina ubieży;
Słowik, ten dzwon wieczorny jedyny w ich ziemi,
Żegnał dzień bawiąc różę pieniami słodkiemi; (*)
Szerokie słońce zaszło, nie leniwym krokiem,
Jak w północy blednieje nad morzem głębokiém;
Lecz ogniste, zajadłe, jakby już rzuciło
Świat na wieki, wnet ziemię światła pozbawiło,
Swém czołem płomienistém uurząc się w głębinie,
Jak wpada w grób swój rycerz, który w boju ginie.
Wstali wtedy, każde z nich wzrok po niebie toczy,
Potém, szukają światła, patrzą sobie w oczy,
Dziw im, że letnie słońce w szybkim krąży locie,
Więc pytają: czy dzień już upłynął w istocie?

XVI.

I niech to was nie dziwi; pobożny, jak wiécie,
Nie żyje tu, na ziemi, lecz w swoim zachwycie;

(*) Dość jest tylko napomknąć o dobrze teraz znanéj powieści o miłostkach słowika i róży; bo ta dostatecznie jest znajomą zachodniemu i wschodniemu czytelnikowi. *Lord Byron.*

Nie dba o dni i światy, nie patrzy przed siebie, —
Nim jeszcze proch uleci, dusza jego w niebie.
Czy miłość mniéj jest silna? O, nie—bo jéj droga,
Równie święta, wspaniała, prowadzi do Boga;
Łączy z tém, co niebiańskiém jest na tym padole,
Z drugą lepszą połową, któréj radość, bole,
Więcéj od naszych znaczą; ogień co pożera,
Co przez drugi wzniecony, równą moc przybiera,
W jeden zlewa się płomień; stos, gdzie głównie tleją,
Gdzie serca, jak Braminy, śród ognia się śmieją.
Jak często, gdy samotni, nie myślim o czasie,
Wielbiąc całą przyrodę w jéj wspaniałéj krasie,
Jéj wody, bór, pustynie, dziwiąc się jéj mowie,
Którą tak dzielnie naszym dumaniom odpowie!
Czyliż nie żyją gwiazdy i gory? Czy fale
Są bez ducha? A groty lśniące się w krysztale
Nie mająż czucia, gdy łez ciche leją zdroje?
I owszem:—wabią, cisną nas na łono swoje,
Zwalniają bryłę gliny, nim ją czas przemieni,
I pogrążają duszę w niezmiernéj przestrzeni.
Precz pozor tożsamości, mylny i uroczy! —
Któż o sobie pomyśli, gdy w niebo wzniósł oczy?
A choćby niżéj patrzał, któż w młodości chwile,
Gdy serce doświadczenia nie nabyło tyle,
Myślał o swym i ludzkim upodlonym stanie?
Jego państwem przyroda, a tronem kochanie.

XVII.

Wstała Neuha i Torkwil: zła zmierzchu godzina
Zwolna do skalnéj groty zbliżać się zaczyna,
Gdzie coraz to świetniejsze, wodniste kryształy,
Słabym blaskiem, jakby gwiazd krocie odbijały.

Para, co lubą ciszą przyrody się poi,
Wraca, gdzie palma rośnie, do lepianki swojéj;
To się śmiejąc, to milcząc, równie jak ich strona,
Urocza jak duch-miłości, gdy wypogodzona.
Fala morska tak cichym szeptem się odzywa,
Jak ten mruczek, co wewnątrz muszli się ukrywa (*),
Gdy w dali od wód głębi, od swojéj rodzicy,
Kwili się morza dziécię, nie zmruża źrenicy,
Próżne rozwodząc żale, i z żądzą spragnioną
Chce powrocić do morza, na karmiące łono.
Pomroczyły się lasy, do snu się udały,
Ptak znojnych stron przylatał do gniazda na skały,
A niebo tak błękitne, jak wody w jeziorze
Pokoju, gdzie pobożność do syta pić może.

XVIII.

Przez palmę i żabinek słychać jakieś tony,
Nie takie, jak kochanek chciałby zamyślony,
By przerywały ciszę w tak miłéj godzinie!
Nie był to wietrzyk nocny, co po wzgórzach płynie,
Trącąc drzewa i skały, te struny przyrody,
Piérwsze, najlepsze lutnie harmonii młodéj,
Którym echa wtórują; to nie pieśń bojowa,
Przed któréj okropnością wnet się urok chowa;
To nie puszczyk samotny, który na uboczy,
Z sobą, o sobie samym, głośną mowę toczy.
Ten pustelnik skrzydlaty, smętny, wielkooki,
Nuci swój śpiew zwycięski śród nocnéj pomroki;

(*) Czytelnik, przyłożywszy do ucha muszlę morską... pojmie, co tu chciano wyrazić. Jeżeli tekst ciemnym się zdawał, znajdzie w „Żebirze“ tęż samą myśl lepiéj w dwóch wierszach wysłowioną. — Poematu tego nigdy nie czytałem, lecz wiersze słyszałem z ust jednego, i t. d. *Lord Byron.*

Lecz świst głośny, przewlekły, okrętowych ludzi,
Jakby wrzask morskich ptaków, który przestrach budzi;
Znów przerwa, znów ochrzypły głos „Chodź no tu bracie!
Torkwilu! nu, kolego! prędzéj! Czekam na cię!“
„Kto tam?“ zawołał Torkwil, i okiem go śledzi.
„To ja!“ usłyszał słowa krótkiéj odpowiedzi.

XIII.

Lecz tych samych ust tchnienie taki zapach zionie,
Który stron południowych mocne tłumi wonie,
Nie taki, jak fijołki szlą ku nam z wiatrami,
Lecz nad grokiem (*) lub piwem wznosi się kłębami,
Z krótkiéj, nietrwałéj lulki, z któréj przecież wzlata
Woń tak miła, przyjemna, już w dwóch częściach świata;
A płonąc, czy wiatr świszcze, czy szumią bałwany,
Dym z Portsmouthu przeniosła do ziemi nieznanéj.
Wyziewem ćmiła błyski, co z chmur migną łona,
Kurzyła się śród wzdętych fali niezlękniona,
Eolowi ofiarę niosąc nieprzerwanie,
Pod którémkolwiek niebem w ciągłéj nieba zmianie.
Czém był ten, kto ją nosił? — Z téj saméj poznaki
Mogę rzec, że to majtek lub filozof jaki. (**)
Wzniosły tytuń! co w wschodniéj i zachodniéj ziemi
Trud majtka, gnusność Turka, czyni znośniejszemi;
Który Muzułmanowi dzieli jego chwile,
I przy opium i żonach zamuje go mile;
Cudny w Stambule, jednak z zaletą nie taką
Jest w Strandzie i Wappingu, choć lubion jednako;
Wyborny w proszku; w fajce godzien wszelkiéj chwały,

(*) Napój z rumu i wody.

(**) Hobbes, ojciec filozofii Locka i innych, był nałogowym fajczarzem, — palił fajek bez liku.

Gdy ta bursztynem zdobna, gdy żółty, dojrzały;
Jak wszystko co zachwyca, więcéj łudzić może,
Kiedy wystąpi w świetnym, wzrok ćmiącym ubiorze;
Lecz istny twój miłośnik większą jeszcze miarą
Wielbi twą nagą piękność — Podaj mi cygaro!

XX.

Gdy noc bliska już swoje rozpostarła cienie,
Ludzka postać przerwała téj chwili milczenie,
W dzisiejszym, jak się zdało, była stroju składzie,
Jako żeglarz na swojéj dzikiéj maskaradzie,
Który jakoby z głębi wód morskich wynika,
Gdy się okręt wesoły zbliży do równika.
Grube majtków igrzyska wraz z śmiechem szalonym
Nastaną na Neptuna wozie pożyczonym (*);
A bój morza to widzi, zachwycony prawie,
Że imie jego żyje, choć w śmiesznéj zabawie
Synów prawych, co się w téj stronie bawią miło,
O któréj się na jego Cykladach nie śniło.
Cieszy się bożek stary, że na oceanie
Choć pamięć dawnych jego rządów pozostanie.
Kaftan majtka chędogi, acz zdarty w łachmany,
Lulka, gdzie się tlił ogień nigdy nieprzerwany,
Wzrost słuszny, krok chwiejący się nieco, choć śmiały,
(Jak okręt w biegu) dawny stan jego wskazały;
Lecz znów głowę miał niby chustką okręconą,
Nie zbyt mocno ściśniętą, niekształtnie złożoną;
W miejsce spodni (ach! prędko znoszonych niezmiernie!
Bo i krzewy łagodne mają swoje ciernie);

(*) **Obrzęd dziki ale zabawny, zwykle w przepływie przez równik obchodzony.**

Dziwna tkanka zdała się na głowy pokrycie,
I ubiór, co wymieniać nie jest przyzwoicie;
Bose nogi, a szyja i twarz ogorzała,
Może obu plemionom zarówno przystała.
Broń miał własną, twór naszéj Europy rodzinnéj,
Któréj dwa światy swoje ukształcenie winny;
Nosił muszkiet na plecach, szerokich i przytém
Zgarbionych trochę ciągłym na morzach pobytem,
Lecz jak u dzika silnych; a tu z innéj strony
Wisiał jego kordelas, w pochwę niewłożony,
Którą zużył lub stracił; pistolety swoje
Miał za pas założone, tych małżonków dwoje —
(Żebyście téj przenośni za żart wziąść nie chcieli,
Choć jeden nie do ognia, to drugi wystrzeli);
To więc, i bagnet rdzawy, nie tak świetny wcale,
Jakby błyszczał schowany będąc w futerale,
Dopełniał stroju majtka, gdy ten w nocnéj porze
Wystąpił w swym dziwacznym i śmiesznym ubiobrze.

XXI.

„Co słychać, Ben Buntingu?“ rzekł Torkwil do tego,
Któregośmy poznali; „niema co nowego?“
Ben powie: „Nic nowego, lecz nowin nie mało;
Jakiś żagiel zawinął.“ — „Żagiel! cóż się stało?
Jakto! mogłeś go zoczyć? To złudzeniem całém;
Ja na morzu kawałka płótna nie widziałem.“
„Może“ rzekł Ben, „załogi widzieć się nie zdarzy,
Lecz z okopów, na których dziś stałem na straży,
Widziałem, był zwinięty; bo wiatr też wiał miło
I zawodnie.“—„A gdy się słońce nachyliło,
Gdzież stanął? czy zarzucił kotwicę?“ „Nie, ale
Ku nam zmierzał, aż wiatry przestały wiać wcale.“

„Jaka flaga?"—„Nie mogłem dojrzeć; w każdym względzie,
Zdaje się, że coś dla nas niedobrego będzie."
„Zbrojny?"—„Tak się spodziewam;—wysłany w pogoni;—
Czas teras, tak ja myślę, wziąść wiosło do dłoni."
„Co, wiosło?—Ktobądźkolwiek ma gonić za nami,
Walk unikać nie będziem, bo to podli, plami;
Mężnie zginąć na placu jesteśmy gotowi."
„O, co do tego, wszystko to jedno Benowi."
„Wie już Chrystyan?"—„Tak właśnie, zwołał wszystkich
ludzi
Do kwater. Każdy się nad bronią swoją trudzi,
Czyszczą je; strzelb nam kilka dostać się udało,
Nabite. Ciebie braknie."—„Wszystko jak przystało;
A choćby tak nie było, nie mógłbym w téj chwili
Nie pomódz mym współbraciom, gdy na miel zbłądzili.
Neuho moja! ach! czemuż, gdy mnie losy gniotą,
Nad tak lubą i słabą pastwią się istotą?
Lecz cokolwiek nastąpi, Neuho, w téj niedoli
Nie odbieraj mi męstwa; chwila nie pozwoli
Łezki wylać; twój jestem, cokolwiek się zdarzy!"
„Brawo," rzekł Ben, „tak mówi, jak wódz marynarzy." (*)

PIEŚŃ III.

I.

Ukończyła się walka; błyski śród pomroki
Cmiącéj działo, co grobu mdłe uskrzydla kroki,

(*) „To przystoi na marynarzów, lecz majtkowie temu nie wierzą," stare przysłowie, jeden ze szczątków dawnéj zazdrości, jaka i teraz jeszcze (choć tylko w żartach) między tak godnemi rodzajami służby spostrzegać się daje.

Ustały; a siarczyste wyziewy od ziemi
Wzniosły się, brudząc niebo ciemnościami swemi.
Ryki i grzechotania, z każdym brzmiące strzałem,
Pogrążyły doliny w zasępieniu małém;
Z przestrachu już nie krzyczą, bo umilkły działa,
Więc koniec, zwyciężonych już kara czekała.
Schwytano buntowników, inni się rozbiegli,
Lub żyli pragnąc szczęścia tych, co w boju legli.
Mało, mało uciekło, a za témi gnali
Po wyspie, którą więcéj niż kraj swój kochali.
Na świecie nigdzie już ich ziemi nie ujrzycie,
Bo się raz téj zaparli, co im dała życie;
Scigani jak zwierz dziki, kryli się w pustynie,
Jak matki łono daje przytułek dziecinie;
Lecz ujść w leżysko próżno lew i wilk się trudzi,
Daremniéj jeszcze ludzie unikają ludzi,

II.

Pod skałą, któréj naprzód sterczące podnóże
Wznosi się nad wodami; z któréj w srogie burze
Fale, na szczyt opoki spinając się śmiele,
Lecą na dół, jak piérwsi walczący na czele,
I w powrotnym upadku gniotą swym ciężarem
Tłum spieniony, co walczy pod wiatrów sztandarem.
Lecz gdzie teraz spokojnie, tam się ich zebrała,
Krew lejących, spragnionych, słabych garstka mała;
Jednak orężem jeszcze zbrojne są ich dłonie,
Jeszcze w nich trochę dumy, dawny upór plonie,
Jak w ludziach zwykłych powód naznaczać wszystkiemu,
I więcéj walczyć z losem, niż się dziwić jemu.
Przewidzieli to dawniéj, co ich dziś spotkało,
Gotowi byli, choć to wątpliwém się zdało;

Ależ słodka nadzieja, — że gdy nie przebaczą,
Przecież o nich zapomną, i śledzić nie raczą.
A gdyby ścigać chcieli, nie wynajdą może
Ich kryjówek odległych, w morskich wód przestworze, —
Cieszyło ich że zemsty chcieć nie będą prawa,
Zemsty, co im tkwi w sercu i przed okiem stawa.
Raj występkiem nabyty, ich ostrów zielony,
Nie mógł dla cnót i zbrodni być tarczą obrony:
Ich lepsze czucia, jeśli te w nich miejsce miały,
Odrzucono, — im tylko winy pozostały.
Tak wypędzeni nawet z drugiéj ziemi swojéj,
Zginęli; próżno dla nich otworem świat stoi;
Obsadzono wycieczki. Sprzymierzeńcy nowi
Walczyli w spólnéj sprawie, krew przelać gotowi;
Lecz Herkulesa ramie, maczuga i dzida,
Przeciw siarczystym grotom na cóż im się przyda?
Przeciw cudnym piorunom, które w jednéj chwili
Zgładzić mogą rycerzów, niż swych sił użyli?
Kopią groby, jak pomór gdy się gdzie zagości,
Dla dzielnych mężów, jak dla ludzkiéj waleczności! (*)
Doświadczali wszystkiego, co garstka tak mała
Częstokroć przeciw wielu śmie działać i działa;
Lecz choć to chęc wrodzona ledz wolnie w mogile,
Grecija nawet ma jedne tylko Termopile,
Aż do obecnéj chwili, gdy w oręż okowy
Zmieniła, to umiera, to bieg zacznie nowy!

III.

Obok skały sterczącéj kilku się zebrało,
Jak jelenie, gdy z stada nie wiele zostało;

(*) Archidam, król Sparty a syn Agezylausa, widząc kuszę wynalezioną do ciskania kamieni i grotów, zawołał, że to jest »grobem waleczności.« Tęż samą powieść powtórzono o rycerzach, po piérwszém użyciu prochu strzelniczego; lecz piérwotna myśl wzięta z Plutarcha.

Ich postać wycieńczona, obłąkane oczy,
Jeszcze jednak ich rogi krew myśliwca broczy.
Tam spadając z wysoka płynął strumyk mały,
I wlókł się w morze, ile siły dozwalały,
Pląsał sobie swobodnie przy blasku pogody,
I z rozpadlin na skały lał swe chłodne wody;
Tak blisko mórz rozległych, a przecież tak czysty
I świéży, jak niewinność, pewniejszy, przejrzysty,
Lśnił się srebrny strumień, jak dzikiéj kozy oko,
Która lękliwie w przepaść spogląda głęboką;
Gdy u spodu obszerne i ponure fale,
Błękitne jak Alp szata, płynęły wspaniale.
Ku źródłu biegli, — czucia, jakich piérw doznali,
Stłumione, gdy po trudach pragnienie ich pali, —
Jakby po raz ostatni pić mieli, broń swoją
Odrzucili, i pijąc, roskoszą się poją;
Zwilżyli spiekłe gardła, obmyli krew z rany,
Któréj obwiąsłem jedne być mogły kajdany;
Potem, spełniwszy czarę, dziwią się niemało,
Ujrzawszy, że z ich grona tylu pozostało
Żywych i wolnych jeszcze: — lecz nikt nie przerywa
Milczenia; patrzą na się, każdy okiem wzywa,
By ozwał się towarzysz; żaden nie rzekł słowa,
Jakby razem z ich sprawą zamarła w nich mowa.

W dali od nich, trapiony myślami,
Stał Chrystyan z złożonemi na piersiach rękami.
Twarz dawniéj tak rumiana, odważna, niedbała,
Teraz jakoby ołów zbladła i zsiniała;
Jasne włosy, co z wdziękiem spadały na szyję,
Jeżą mu się na głowie, jak spłoszone żmije,
Przygryzł swe usta, niemy, jakby posąg jaki,
Pierś nawet żadnéj tchnienia nie dała oznaki;

Stał przy skale, milczący lecz groźny i srogi,
A gdyby nie te lekkie uderzenia nogi,
Która na piasku ślady wyciska głębokie,
Rzekłby kto, że się cały przemienił w opokę.
O kilka kroków daléj Torkwil czoło swoje
Oparł o wzgórze, milczał, lecz krwi ronił zdroje, —
Nie ciężko ranny: w sercu najgorsze miał rany.
Spuścił błękitne oczy, był blady, znękany,
A krew, co złoty jego włos broczyła, znaczy,
Że nie pochodzi jego omdlenie z rozpaczy,
Ale z upływu życia. Przy nim był ktoś drugi,
Dziki jak niedźwiedź, chętny, jak brat do usługi, —
Bunting, który nad swoją, pomyślawszy raną,
Otarł ją, omył, związał — i lulkę kochaną
Palił — pomnik co przeżył bojów sto i więcéj,
Wieża, skąd ogień nocy lśnił dziesięć tysięcy.
Czwarty zaś i ostatni, który uszedł z niémi,
Przechadzał się — niekiedy stanął i ku ziemi
Schylił się, podniósł kamyk — znów go potém rzucił —
Czasem szedł spiesznie — nagle wstrzymał się — obrócił —
Spojrzał na towarzyszów — jakiéjś piosnki tony
Pół gwizdał a pół śpiéwał — znów stał zamyślony —
A w dawnych ruchach, z większą powtarzanych siłą,
Obojętność i nieco pomięszania było.
To długi spis rzeczy, która ledwie trwała
Pięć minut, co przebiegły, jakby chwila mała;
Ale *jakież* minuty! Takie chwile dzielne
Krócą to ludzkie życie, wznoszą w nieśmiertelne.

(d. c. n.) *A. Zawadzki.*

Kronika Piśmiennicza
POLSKA.

344. Rocznik Towarzystwa Naukowego Krakowskiego:

z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego, wydany w Krakowie 1843 r., str. 347, w drukarni uniwersyteckiéj. Poczet nowy, tom II (Ogólnego zbioru tom XVII). Tegoż *Rozcnika.* (poczet nowy), tom pierwszy (z ryciną Grzegorza z Sanoka), wyszedł roku 1841. Patrz treść tego pisma w *Przeglądzie Naukowym* str. 66 tom III. b. r.

„Cel naukowy, najgodniejszym jest życzeń i zabiegów rozumnego człowieka.“

— *Józef Brodowicz* —

Jeszcze w roku 1816 (dnia 19 lutego), za zezwoleniem trzech dworów i senatu miasta Krakowa, założoném zostało w Krakowie Towarzystwo naukowe, ściśle z uniwersytetem tamtejszym *(Jagiellońskim)* połączone. Rektor bowiem tegoż uniwersytetu, jest zarazem prezesem Towarzystwa, a dary Towarzystwu niesione, bądź w dziełach, obrazach, rysunkach i rycinach, bądź w medalach, numizmatach i monetach; bądź w minerałach, muszlach, skamieniałościach, kruszczach lub innych tworach przyrody; bądź nareście w przedmiotach sztuk

pięknych, wynalazków, starożytności i tym podob: oddawane bywają do właściwych zakładów, do muzeów i gabinetów uniwersyteckich, aby powszechność z nich korzystać mogła. Rozprawy zaś uczonych, lub członków Towarzystwa, jako też niekiedy i nadsyłane rękopisma, rzadsze stanowią zbiory zasobów do Pamiętnika, wydawanego jako pismo czasowe, ze składek professorów Uniwersytetu krakowskiego i członków Towarzystwa naukowego, pod nazwą *Rocznika Towarzystwa naukowego* i t. d.

Od czasu pierwszego posiedzenia swego (t. j. od 25 lutego 1816), które był ówczesny rektor Wal. Litwiński zagaił mową dobrowieszczą, *Towarzystwo naukowe* przez 25 lat bytu swego, oprócz tylu sprawozdań lub zagajeń rocznych, ile lat swego istnienia liczy, ma wymienionych w księdze posiedzeń *trzysta kilkanaście* rozpraw, z których 128 dla wiadomośc ogółu drukiem ogłosiło.

Towarzystwo naukowe, dobrowolną nadało sobie ustawę, którą na nowo uchwalił senat woln. i niepodleg. M. Krakowa (14 lipca 1841). Zastrzegło jednak sobie, iż wszelkich ulepszeń, w duchu zapewne postępu, uskuteczniać nie zaniecha. Idąc zaś w myśl szlachetnych zamiarów swoich, powiększyło rokrocznie, do *sześciu* liczbę posiedzeń i schadzek naukowych których już przeszło 230, od czasu założenia, odbyło.

Jakkolwiek Towarzystwo, tak szczupłe posiada zasiłki pieniężne, iż od roku 1833, aż do 1841, musiało przerwać wydawanie swoich *Roczników;* mimo to wszakże, spółczując nieszczęście jakiego doznała szkoła techniczna, a szczególniéj Bursa jerozolimska w Krakowie; i litując się nad losem młodzi ubogiéj, która pozbawioną była przytułku, a pałała chęcią nauk, darowała tymże zakładom 12,040 złotych polskich. Prócz tego zaś, professorowie - członkowie Towarzystwa, na posiedzeniu lipcowém r. b. *ograniczając własne potrzeby,* część miesięcznéj płacy swojéj, stanowiącéj tysiąc kilkaset złotych, na tenże cel, godnym powołania swego sposobem, poświę-

cili (*). Obecnie Towarzystwo zajmuje się, nie tylko zwykłémi rozprawami i wydawaniem *Rocznika*, ale nadto widząc niedostatek dzieła, któreby i nauczycielowi za przewodnika, i uczniom szkół początkowych za książkę podręczną służyło i stanowić niejako mogło całą ich biblioteke naukową, postanowiło odpowiedne ułożyć dziełko (**). Jest to rzecz nader wielkiéj wagi, bo podobne uczelnie początkowe odpowiadające naszym *szkołom elementarnym*, są jedyną, pierwszą i ostatnią świątynią, w któréj lud się krakowski wychowuje, z któréj czerpie zasady życia i całéj umiejętności zasoby. Słusznie więc bardzo, iż Towarzystwo i Jego b. prezes, zwrócili ojcowskie i spółziemiańskie oko na ten wielki niedostatek. Cześć Mężom, którzy nie mogąc być wychowaczami ludu, a mając tylko *rozszerzać* światło, zaczynają od *Ludu*, zaczynają od *wzniecania* światła, od wszczepienia w główną swéj ziemi podporę tego, co późniéj ustalać, rozkrzewiać i od pokoleń do pokoleń przekazywać mają! Dbałość o szkoły ludu i szkołę techniczną, jest najchlubniejszym Towarzystwa zaszczytem i pochwałą!

Dwa lata temu J. Kajetan Trojański, nauk wyzwolonych i Filozofii doktor, dziekan i professor wydziału filozoficznego w Uniwersytecie Jagiellońskim, mąż znany ze swych prac uczonych, zostawszy rektorem Uniwersytetu krakowskiego, objął zarazem urząd prezesa Towarzystwa naukowego. Przed nim, godnie tę dostojność piastował Józef Brodowicz Med. i Chirurgii doktor, professor Uniwersytetu krak. kommiss. rząd. Instytutu naukow. W. M. Krakowa i jego Okręgu. Z innych członków, byli prezesami Towarzystwa: a) Z żyjących— Aloizy Rafał Estrejcher Filozofii i Medycyny doktor, professor Uniw. krakowskiego; — Karol Hube Filozofii doktor, professor Un.

(*) Patrz str. 38 Rocznika z 1843 roku.

(**) Str. 44 Rocznika z tegoż roku.

Jagiellońskiego; — Antoni Matakiewicz Obójga praw doktor, profes. Uniw. krakowskiego. b) Ze zmarłych: Sebastijan Girtlen Filozofii i Med. doktor, professer Uniw. krakowskiego; — Ks. Wincenty Łańcucki S. T. D., Infuł. krak. i Walenty Litwiński. Imiona ich, pozostają w dziejach nie tylko Uczelni Jagiellońskiéj, ale i oświaty polskiéj; przeto tu je z chlubą wyliczamy.

W tomie drugim Rocznika, który mamy przed sobą, oprócz dwóch sprawozdan z czynności Towarzystwa przez J. Brodowicza i K. Trojanskiego, mieści się rzecz K. Teligi dokt. Teol. i prof. *O przedmiocie, własnościach, celu i wpływie historyi kościelnéj na inne umiejętności;* — Życiorys M. Janowskiego przez ks. M. Gładyszewicza; — O spadkach beztestamentowych podług praw i zwyczajów dawnych ziemskich polskich przez Fran. Ksawer. Kojsiewicza mecen. z Warszawy; — Kilka uwag nad przyjętém zdaniem, iż *Matka najlepszą jest karmicielką swych dzieci.* („Matrem optimam nutricem"), wyjaśniających zarazem przyczyny dzisiejszego fizycznego znikczemnienia rodu człowieka p. Feliksa Trojańskiego D. M.; — O wpływie religii chrześcijańskiéj na wzrost i postępy sztuk pięknych przez ks. Stachowskiego; — Obraz obserwacyj meteorologicznych w Obserwatoryum krak. z 1841 roku, oraz Errores probabiles catalogi fixarum ex observationibus zonarum regiomontanis determinati p. Max. Weisse D. O. A.; — Dwa badania matematyczne Karola Hube'go, Nauk wyzwolonych i Filoz. doktor, prof. Un. Jagiellońskiego; - - O undulacijach światła przez Kuczyńskiego NN. WW. i Filoz. d*ra.*, professora Un. J.; — Wiadomość o K. Narbucie przez ks. A. Mószyńskiego; — Uwagi o dziełach p. de Lisle, które odczytał na posiedzeniu Ferdynand Kojsiewicz (brat Franciszka Ksawerego), wydawca dzieł Hugona Kołłątaja, Obójga praw doktor, professor Uniwersytetu i sekretarz Towarzystwa: uwagi te, opuszczone są w dziele *Badania historyczne*, a jako stanowiące osobną rozprawę, tu są wytłoczone. Ci więc, którzy pragną mieć *zupełne* dzieło *badań historycznych*, i niniejszy *nowy poczet roczników* zaprenumerowaćby powinni. A tak,

choć tym sposobem, może się powiększy liczba miłośników pism podobnych. Rzecz bowiem dziwna postrzegać się u nas daje, że skoro tylko dzieła jakie są głębszéj treści, obszerniejszego rozmiaru lub czysto - naukowego celu, wtedy tracą zaraz kupców i lubowników nawet mimo swoich zbawiennych i zajmujących dążeń. Prawdzi się to, ze smutkiem wyznać musimy, nie tylko na *Rocznikach Towarzystwa naukowego* (patrz str. 37) ale na *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych* wydawanych w Wilnie, na *Dziejach narodu litewskiego przez T. Narburtta*, dla których wydania poświęcił w Wilnie czcigodny Marcinowski, dawniejszy redaktor Kurijera Litewskiego, cały niemal majątek (bezpowrotnie prawie), bo wytłoczenie ogromnego tego dzieła wiele bardzo kosztowało, i t. p. Obowiązkiem więc jest naszym, powstać tutaj na obojętność nabywania takich dzieł, jak Roczniki, Wizerunki, Historija literatury Wiszniewskiego, Dzieje Narburtta, Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce przez Jochera, Gabinet medalów Gołębiowskiego i tym podobnych pism, których nakład jest ogromny, przewyższający prawie możność pojedynczych osób, a cena szczegółowych egzemplaprzy, w miarę kosztów wyłożonych, bardzo umiarkowana. Policzmy, ile bezpotrzebnie i bezpożytecznie wydamy pieniędzy, gdy tymczasem ważniejsze dzieło kupione, (choćby z resztą i nieczytane późniéj od szan: nabywcy) zasila cały ruch piśmienniczy, a więc śmiało rzec można, wspomaga i popiera literaturę polską, która bez podobnych filarów runąćby mogła. Nie czcze więc romanse i powiastki, ale dzieła ważniejsze, głębsze, naukowe, podobne do pomienionych wyżéj, zgromadzać dla siebie i potomków swych należy, bo tym tylko środkiem zaprawić można smak do rzeczy godnych uwielbienia, a sobie samym i drugim pożytecznych.

Wracając do *Rocznika*, wspomnimy tu jeszcze, iż treśc jego kończy lista członków, z któréj się pokazuje, iż Towarzystwo od 1815 do 1842 liczyło razem 445 członków, ale

w téj liczbie czynnych, było tylko 128. Ubyło przez zgon 143, pozostało więc do 1 stycznia r. zeszłego 302. W téj liczbie:

Honorowych. . .	86
Czynnych. . . .	73
Korrespondentów	143

Dary niesione Towarzystwu, nie są także zbyt liczne Życzyćby należało, aby Panowie Wydawcy i Autorowie, nadsyłali po egzemplarzu jednym pism i dzieł własnych. Wszakto ich nic kosztować nie będzie! —

345. Chmury przeszłości przez Juliusza Strutyńskiégo.

Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1844, w dwunastce większéj stron. 116. Wydanie Adama Zawadzkiego, z dewizą:

A przeszłość w-dali—tam cieśnie i progi,
O których grzbiety mój korab złudzenia
Rospękł się niegdyś, żeglując bez drogi
Zbłąkany myłką młodego ramienia.
(List do W. K.)

Są to wiersze złożone z 22 urywków pisanych w Kijowie Wilnie, Żytomierzu, Bobryku, Petersburgu, Trijeście, Samborodku, Lipowcu (na Podolu), i Radziwiłłowie; — miłośne (erotyczne), okolicznościowe, sztambuchowe, religijne, i t. p. Kończy ten zbiorek Improwizacija dość długa (spisana 1839 przez P. W. Kożuchowskiego w Petersburgu i Panegiryk Bałagułów pod napisem *Jarmark bałtski* (*). Mówiąc prawdę bezstronną i nie dzieląc niczyjego zdania, ani też potakując złemu, wy-

---

(*) W miasteczku Bałcie.

znać trzeba rzeczywiście, iż zanadto już jęli się wszyscy Bałagułów. Nie darował im Kraszewski. Chińcz (Heinicz) zrobił z ich śmiesznotek komedię (*). Michał Grabowski, a nawet Henr. R. nie szczędzili farb swoich na ich odmalowanie. N. J. S. dla dopełnienia, aby rymem, i prozą, i na scenie, i w powieści, i w korrespondencijach, i w *gorszych jeszcze rzeczach* przekazać ich wiekopomnéj potomków pamięci, rzucił nam jeszcze i Panegiryk, z déwizami nie bardzo pochlebnemi: — Avortons monstrueux, d'une râce héroique, que l'homme élevé méprise autant, qu'il admire leurs ancêtres; — oraz: *No es bestia que non fus hytrobada.* W owym panegiryku, taką autor *skomponował.*

PIEŚN ZUCHÓW.

Jarmarkowe cudne życie!
Jaka wrzawa! jaki ruch!
Tam-to dziarsko, wyśmienicie
Popisać się może zuch!

. . . .

I harapem wolno bić
Żydów, chamów.... oprócz koni
Bo bez koni, możnaż żyć?
i t. d. — i t. d.

Dla dania próbki w drugim rodzaju pisania autora, przytaczamy jeszcze parę strof:

Na kibitkę wpadłem - lecę —
Nie dbam, mróz — śnieg — albo deszcz —
Duchem, słotę dni oświecę,
Bo nim cuda tworzy wieszcz!

(*) W następnym numerze wspomnimy o niéj w *Kronice.*

Błoto ziemskie mię nie splami
Chłód nie zmrozi *dzielnych* (?) dum,
Gardzę burzą i wichrami,
Pierś żelazna, twardy (?) um! —
i t. d. i t. d.

346. Potrzeby chemiczne rolnictwa:

ich własności, ocenienie, badanie i wpływ na żyzność gruntów przez Adolfa Duflos i Ad. Hirsch, dla nauki ziemian i do pomocy w badaniach agronomiczno-chemicznych, przełożył J. Sewerym Zdzitowiecki, professor chemii, człon. Tow. naukowego z Uniwersyt. Jagiel. połączonego. W Warszawie. Nakładem G. Sennewalda, 1844, w ósemce, str. 258.

Znane są wiadomości chemiczne i zasługi w tym oddziale nauk profess. Zdzitowieckiego. Nie mógł więc, przez takiego Męża, dokonanym być zły wybór. Tłumacz w wielu miejscach objaśnił to dzieło przypiskami. Na czele umieszczona przedmowa tłumacza, zachęca ziemian naszych do bliższego poznania chemii, pomocnicy nauki o roli. Przekład ten dobrze powinni przyjąć obywatele ziemscy.

Nowości.

W Poznaniu E. S. Mittler, wydaje znanego z prac swych filozoficznych J. K. Trojanowskiego, *Słownik niemiecko-polski* we 2 tomach, całkiem nowo wypracowany. Oto co o nim prospekt powiada: „W układzie tego dzieła, trzymał się Autor tych samych zasad, co w układzie części polsko-niemieckiéj, która tak chlubne znalazła przyjęcie i niniejszą pracę

wywołała. Zasady te w ogólności są: rozróżnić jak najściśléj znaczenia wyrazów, przeprowadzić je przez wszystkie odcienia tak właściwych jak i przenośnych znaczeń, wskazać sposoby ich użycia i różność składni, wypływającą z różności znaczenia, wszystko zaś wyjaśnić i do pojęcia łatwém uczynić przez stosowne przykłady w właściwych miejscach, pod każdém znaczeniem umieszczone. Tym sposobem dzieło to stało się, nie tylko do czytania i tłumaczenia książek niemieckich wielce użyteczném, ale i do pisania wypracowań w tym języku, nie tylko dla Polaków, ale i dla Niemców, usiłujących w ojczystéj mowie z dokładnością się wyrażać, nader pomocném. Za główną podstawę obrał sobie Autor Słownik Heinsiusa (Volksthümliches Wörterbuch der deutschen Sprache), któremu szczególniéj pod względem znaczeń technicznych wiele winien; pilnie wszakże porównywał wszelkie artykuły z dziełem Hejsego (Handwörterb. der d. Spr.), które do dokładniejszego oznaczenia pisowni i składni wielce mu było pomocném. Wszakże pragnąc uczynić swoję pracę, ile możności, jak najzupełniéjszą i do doskonałości najbardziéj zbliżoną, trzy jeszcze Słowniki dokładnością się odznaczające ciągle miał przed oczyma: Mozina niemiecko-francuski, i dwa niemiecko-łacińskie, t. j. Krafta i Georgesa; w których znalazł obfite źródło pod względem rozmaitości wyrażeń i zwrotów niemieckiéj mowie właściwych.

Zresztą po ukończeniu druku piérwszego tomu, wywodniéj się Autor sprawi przed Publicznością ze szczegółów planu swéj pracy; do któréj im więcéj usilności dokładał, tém mniéj nakładca oszczędzał kosztów na piękny papiér i druk wyraźny, iżby jéj użycie ułatwić.